Nr. 37. We Lwowie dnia 12. września 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Prasa poznańska.

Dla zapoznania się z umysłowemi i politycznemi prądami, panującemi wśród polskiej ludności w Poznańskiem, najlepiej posłuży przegląd pism, tamże wychodzących. Prasa, będąca dziś już tak ważnym czynnikiem w życiu każdego narodu, ma dla Poznańczyków tem większe znaczenie, gdyż stanowi tę właśnie dziedzinę umysłowego życia, w której oni najmniej doznają ograniczeń i najswobodniej wypowiedzieć się mogą.

Konstytucja cesarstwa zapewnia prasie daleko idącą swobodę; z bardzo małem zastrzeżeniem twierdzićby można, że jest tam pod tym względem wolność zupełna. Nie istnieją żadne opłaty stemplowe, na wydawanie pism perjodycznych nie potrzeba żadnej koncesji, niema też ani cienia cenzury. Istnieje wprawdzie przepis, aby jeden numer każdego pisma składać w biurze policyjnem, prawo jednak nie zastrzega, kiedy się go ma doręczać, to też w chwili, gdy gazetę czyta urzędnik policyjny, wszyscy czytelnicy również ją mają w ręku.

Faktycznie więc wszystko, co się pomyśli, drukować wolno, tylko trzeba przyjąć za to całkowitą odpowiedzialność. Zdarza się, iż niekiedy po wyjściu z druku jakiegoś zbyt burzliwego numeru, zjawia się w drukarni urzędnik policyjny dla skonfiskowania pisma, naturalnie znajduje jednak wtedy tylko zbywającą resztkę egzemplarzy, którą bez straty można mu ofiarować...

Za zbyt śmiałe wystąpienia pismo bywa karanem. Prokuratorja wytacza mu proces, a jeśli udowodni winę, nakłada karę pieniężną lub odpowiedzialnego redaktora w kozie zamyka, co w gruncie rzeczy dla wydawcy na jedno wychodzi, gdyż w jednym i drugim razie tylko kieszenią odpowiada. Stanowiska redaktorów odpowiedzialnych zajmują zwykle ludzie, którzy zresztą dla pisma jak najmniejszą stanowią wartość, a z góry przygotowani są na ryzyko przepędzenia kilku tygodni, a czasem miesięcy w areszcie. Za tę przemijającą niedogodność pobierają specjalne wynagrodzenie, o ile więc ona nie trwa zbyt długo, nie czują się zbyt pokrzywdzeni. Czasami jednak, gdy na pismo spadnie zbyt wielka ilość procesów, zdarza się, że jego redaktor odpowiedzialny, zmuszony odsiadywać swoje przekroczenia, zimą ni latem świata bożego nie widzi. W tego rodzaju opały popadają jednak tylko pisma, mające bardzo niezręcznych lub mało rutynowanych kierowników, gdyż przy pewnej znajomości praw i zwyczajów obowiązujących można dużo powiedzieć, nie narażając się na karę.

Najczęściej powodem procesu bywa obraza majestatu. Zwłaszcza w ostatnich czasach majestat, reprezentowany przez prokuratorów, stał się niezmiernie drażliwy i sądy mają wciąż do czynienia z rozstrzyganiem spraw tego rodzaju. Objaw ten nietylko w naszych dzielnicach, lecz i w rdzennie niemieckich prowincjach, zwraca powszechną uwagę i wywołał w parlamencie przez socjalistów postawiony wniosek, o skreślenie tych paragrafów kodeksu, które się do obrazy majestatu odnoszą. Naturalnie, że dyskusja nad tym tematem, bardzo śliska, swobodnie rozwinąć się nie mogła, a mimo to przecież, gdyby nie była się toczyła między n i e t y k a l n y m i posłami, byłaby do nowych procesów dała pole. Wniosek przepadł, a jestto i dla nas wielka szkoda, gdyż z jego przeprowadzeniem upadłaby zapora, najdotkliwiej może swobodę prasy krępująca. Teoretycznie wolno w cesarstwie niemieckiem roztrząsać swo-

bodnie wszelkie kwestje, wyjawiać wszelkie przekonania i nawet najśmielsza krytyka istniejących urządzeń — rządu samego — żadnej kary na autorów nie ściąga. Nie wolno tylko zaczepiać osobistości, stawiać im zarzutów i wypowiadać podejrzeń, których udowodnić nie można i to samo odnosi się również i do omawianych instytucji. Nie wolno wreszcie wprost zachęcać czytelników do czynności, prawem niedozwolonych — np. do rewolucji i buntu. Zaznaczam raz jeszcze: że „nie wolno“ nie znaczy bynajmniej tyle, co „niemożna“; przeciwnie, wszystko napisanem, wydrukowanem i rozprzedanem być może, — tylko śmiałe słowa trzeba drożej opłacać.

Instytucja redaktorów odpowiedzialnych, bardzo zresztą wygodna, ma swoje słabe strony. Nizkie umysłowe kwalifikacje tych panów, którzy służą za parawan pismom, sprawiają, że w razie procesu nie umieją się oni dobrze ze swej roli wywiązać i często naiwnością swoją pogarszają sprawę. Adwokaci, którzy ją biorą w ręce, zwykle też zastrzegają się, aby ich klient jaknajmniej mówił, mimo to jednak roczniki sądowe mieszczą całe kolekcje komicznych epizodów, z tej fałszywej sytuacji wynikających. Pewien redaktor odpowiedzialny, naprzykład, oskarżony był z racji jakiegoś wojowniczego artykułu, w którym między innemi mieściło się wyrażenie „drakońskie prawa“. Gdy go sędzia zapytał, czy wie, jakie są drakońskie prawa, odpowiedział: „Nie, ja nigdy nie służyłem w dragonach“.

W ostatnich czasach usiłowano niejednokrotnie prócz redaktora pociągać wydawcę lub autorów do opowiedzialności, w niektórych wypadkach z dobrym — a raczej ze złym skutkiem, gdyż ustawy krajowe przyznają każdemu redaktorowi prawo zamilczenia przed sądem nazwisk swych współpracowników.

Z tego wszystkiego jednak nie wynika bynajmniej, aby zadanie prasy w pruskim zaborze miało być bardzo łatwem, trudności wszakże nie płyną z ograniczeń prawnych, lecz raczej źródło mają w miejscowych warunkach.

Przedewszystkiem pisma nasze, wychodzące w Poznaniu liczyć muszą wyłącznie prawie na zbyt miejscowy. Cenzura, która tak dotkliwie krępuje prasę warszawską, wytwarza jednakże dla niej pewnego rodzaju monopol. Tylko to, co się w zaborze rosyjskim drukuje, może się swobodnie po obszarach wszystkich ziem polskich rozchodzić i dla tego tylko to może przy innych odpowiednich warunkach dobry materjalny interes przedstawiać, zwłaszcza jeżeli się rozważy, że pod berłem rosyjskiem żyje przemagająca większość Polaków.

Wskutek tego prasa zakordonowa skazana jest na suchotniczy żywot, gdyż tylko na szczupłej stosunkowo garstce czytelników może byt swój opierać. Tem się tłumaczą i inne fakta, np. wielka ilość pism tygodniowych w Warszawie obok maleńkiej liczby dzienników, natomiast odwrotny zupełnia stosunek w Galicji i w Poznańskiem, gdzie obok obfitości pism codziennych żaden prawie tygodnik utrzymać się nie może. Istotnie pod brzemieniem cenzury najwięcej cierpią pisma polityczne; właściwie z tej przyczyny rozwinąć się one wcale nie mogą; natomiast pisma literackie i społeczne, które po za granicami rosyjskiego zaboru wartości swej dla czytelników nie tracą, zbierają wszystkie korzyści z tego warszawskiego monopolu.

(Ciąg dalszy nast). *I. Moszczeńska.*

Prof. dr. Maurycy Benedikt.

Życie duszy ludzkiej.

Przetłumaczył

Dr med. Ludwik Wolberg.

Warszawa 1897.

(Dokończenie).

Nadmieniłem powyżej, że autor odrzuca przemianę gatunków, każdy z nich uważając za oddzielny akt twórczej przyrody. Przyjmuje on jednocześnie teorję rozwoju, ale pojmuje ją, jako rozwój każdego gatunku zosobna, nie przekraczający właściwych im granic. Rozwój ten dokonywa się na podstawie dziedziczności. Przystosowując się coraz dokładniej do warunków otoczenia, nabywają gatunki pewnych nawyknień, które, przechodząc dziedzicznie na potomstwo, stają się po wielu wiekach instynktami, czynnościami automatycznemi, nieraz bardzo złożonemi, jak tego przykład mamy na mrówkach, pszczołach i t. d. Gatunek ludzki nie stanowi pod tym względem wyjątku, jakkolwiek automatyzm mniejszą w nim odgrywa rolę, niż w innych gatunkach zwierzęcych.

W tym duchu należy właśnie rozumieć następujące twierdzenie autora: „głębsze badania życia duchowego przekonały, że w mózgu nie istnieje żadna wykształcona treść duchowa, lecz że powstaje ona dopiero pod wpływem bodźców świata zewnętrznego lub podrażnień z rozmaitych części własnego ciała. Apriorystycznemi wydają się poniekąd niektóre tylko wyobrażenia, jak n. p. o czasie i prze-

strzeni, niektóre uczucia i pewne rodzaje działalności o tyle, o ile wrażenia wogóle związane są z mechaniką czynności nerwowych". To znaczy, że wraz z mechaniką czynności nerwowych, jak ona się rozwija pod wpływem doświadczenia, odziedziczają się także wrażenia (czucia), z tą mechaniką związane i skojarzone w oddzielne całości, które z biegiem czasu przybierają charakter apriorystyczny.

Takie są zasadnicze poglądy autora, leżące w podstawie jego wykładu o sprawach duchowych, rozważanych w człowieku wogóle. Pomijam szczegóły, jakkolwiek niektóre z pośród nich zasługiwałyby na bliższe rozpatrzenie, chociażby z tego względu, że w skutek niedokładności wyrażeń i pobieżnego rzeczy przedstawienia, budzą pewne wątpliwości co do tego, jak należy je rozumieć.

W drugiej części swego dzieła, składającej się z dodatków do pierwszej, w których autor zastosowuje pewniki psychologiczne do najważniejszych zagadnień społecznych, ożywia się on znacznie. Traci coraz więcej ze swej sztywności dogmatycznej i nie tylko ucieka się do „dowodzeń abstrakcyjno-teoretycznych", ale odwołuje się także do uczuć w nich szukając poparcia dla swych rozumowań. Wywody jego, lubo oparte na założeniach czysto rozumowych, przeniknione są tak głębokiem współczuciem dla ludzkości i silną wiarą w jej przyszłość, że pomimo goryczy, jaką go napawają obecne stosunki, nie poddaje się zwątpieniu i nie wpada w ów pesymizm modny, który bardzo często służy tylko za dekoracyjne przystrojenie wyrafinowanego sobkostwa. Jakkolwiek przemawia on w imię całej ludzkości, czując się atoli obywatelem państwa austrjackiego, w pierwszym rzędzie zajmuje się jego stosunkami. Ubolewając nad wadliwościami jego ustroju politycznego, w którym centralizm panuje jak za dobrych czasów despotyzmu, uderza on na trzy główne zmory społecznego życia: na biurokratyzm, doktrynerstwo i protekcję Biórokratyzm, wychodząc z zasady: bierz djable, świat, byle formule prawnej stało się zadość, krępuje każdy krok życia i wykoszlawia je; doktrynerstwo, które w imię uświęconych dogmatów powściąga samodzielny ruch myślenia i obniża jego polot: protekcja nareszcie, która nie dość że wyrządza krzywdę społeczeństwu, powierzając jego sprawy w nieudolne ręce, ale, co gorsza, przytłumia uczucie własnej godności i rozbudza najnikczemniejsze instynkty w sercu ludzkiem.

Wywody autora i jego zapatrywania na zadania życia ludzkiego mogą przekonać najzatwardzialszego doktrynera, że właściwe pojęcie o tem, jakie jest przeznaczenie człowieka i społeczeństwa, nie zależy od metafizycznych teorji, zajmujących się niedostępną dla rozumu ludzkiego istotą bytu, ale od zdrowego rozsądku i prawości uczucia. Autor w metafizycznych poglądach jest, ściśle rzeczy biorąc, materjalistą, chociaż do tego nie przyznaje się: pomimo to w swych dążnościach jest tak głęboko humanitarnym, że pod tym względem mógłby służyć za wzór dla nie jednego z owych idealistów, co przebywając w sferze nadziemskich ideałów, dla codziennych trosk życia i bolów ludzkich nie mają, jak tylko litość pogardliwą.

Zasadą, której się trzyma w ocenianiu zadań społecznych, jest z jednej strony wolność indywidualna, z drugiej — bezpieczeństwo publicze. Społeczeństwo nie jest niczem więcej, jak pewnym układem stosunków ludzkich, odpowiadającym warunkom geograficznego położenia i dziejowych kolei. Istotę jego stanowi jednostka, ale nie jednostka abstrakcyjna, lecz konkretna, posiadająca pewne wierzenia, uczucia i dążności. oparte na tradycji i stanowiące podstawę jej potrzeb. Tym właśnie potrzebom musi zadość czynić społeczeństwo i dla tego w swych urządzeniach ma się ono kierować nie jakiemiś zasadami idealnemi, ale takiemi, które odpowiadają wymaganiom indywidualnej wolności i porządku społecznego.

Przegląd zagadnień społecznych rozpoczyna autor od ustępu, w którym zastanawia się nad stosunkiem człowieka do zwierząt. Zwierzęta różnią się od człowieka pod względem psychicznym niższym stopniem rozwoju. Tak samo, ja on mają one pewne wyobrażenia o rzeczy, doznają smutków i radości, kierują się w swych czynnościach chwilowemi pragnieniami lub wrodzoną dążnością. Słowem, są istotami żyjącemi, które mają swe prawa tak samo, jak i człowiek Dla tego powinniśmy się kierować względem nich współczuciem. Z tego wychodząc stanowiska, musimy potępić polowanie, jako zabawę, gdyż jest zabytkiem bar barzyństwa. Polowanie o tyle tylko może być usprawiedliwionem, o ile jest przedsiębranem w celu zabezpieczenia się od zwierząt szkodliwych i dostarczenia pożywienia.

Pozostając wiernym zasadzie wolności indywidualnej, domaga się autor bezwzględnego równouprawnienia kobiet. Zdaniem jego nie tylko nie zagraża ono w niczem bezpieczeństwu publicznemu, ale przeciwnie, ułatwiając ostateczne uregulowanie stosunków społecznych, może się przyczynić do zmian zbawiennych w rozwoju ludzkości. Wprawdzie nie wierzy on, ażeby kobieta mogła odegrać jakąś ważną rolę w naukach i sztukach, gdyż zbywa umysłowi kobiecemu na twórczości, jak tego dowodzi fakt, że w muzyce, którą kobieta od wieków uprawia, nie zdołała się wznieść do wysokości Mozartów, Szopenów i t. d. Nie dowodzi to jednakże, ażeby pod innymi względami jej udział w życiu publicznem miał być bezpożytecznym. W każdym razie, troskę o to,

co dla siebie ma ona uważać za dobre, potrzeba jej samej zostawić. Doświadczenie przekona ją ostatecznie, jakie zawody dla niej są dostępne.

Że pomyślność społeczeństwa zależy bezpośrednio od wychowania młodzieży tak domowego, jak i publicznego, zbytecznem byłoby dowodzić. W wychowaniu domowem na to głównie musi być zwrócona uwaga, ażeby kształcić charaktery, rozbudzić szlachetne uczucia i wyrobić samodzielność, przedsiębiorczość. Zadaniem zaś wychowania publicznego jest w pierwszym rzędzie przygotowanie obywateli, którzyby pojmowali potrzeby swego czasu i byli uzdolnieni do posług, jakich od nich społeczeństwo będzie wymagać. Obecne wychowanie tak domowe, jak i szkolne, nie odpowiada powyższym wymaganiom. W wychowaniu domowem niemasz żadnego systemu, w publicznem panuje system najzgubniejszy. Naprzód młodzież jest przeciążana pracą, która wyczerpuje jej siły wtedy właśnie, kiedy ich najwięcej potrzebuje dla wzrostu i fizycznego rozwoju, powtóre, obładowuje się jej umysł wiadomościami, które w wyjątkowych tylko przypadkach mogą się jej przydać, zaniedbując przytem kształcenia jej w kierunku, który najbardziej odpowiada warunkom współczesnej oświaty.

Przewaga nauk klasycznych opiera się na przesądzie, że Grecy i Rzymianie w swych zabytkach piśmiennych zostawili wzory niedoścignione, których wpływ na umysły nie da się niczem zastąpić. Tymczasem wzory te, jakiejkolwiek są wartości, nie odpowiadają dzisiejszym wymaganiom pod żadnym względem, ani naukowym, ani estetycznym, ani etycznym. W każdym razie nie jest autor za zniesieniem po szkołach greki i łaciny, ale za ich ograniczeniem. Głównymi przedmiotami nauczania szkolnego mają być nauki przyrodzone i społeczne, tudzież języki nowożytne, a dopiero po nich klasyczne.

Z zadaniem wychowania stoi w pewnym związku stanowisko sztuki w społeczeństwie. Nikt nie zaprzeczy, że sztuki piękne wywierają silny wpływ na umysły, że mogą je uszlachetniać, ale mogą również i zniepraw ić stosownie do kierunku, w jakim bywają uprawiane. Kierunek naturalistyczny, obecnie tak modny, malujący z całą lubością ujemne strony natury ludzkiej, obniża nastrój duszy i nadaje przewagę poziomym instynktom; przeciwnie, prawdziwa sztuka, czerpiąca natchnienie w wyższych uczuciach, roznieca w sercu miłość dobra i prawdy i wiedzie do poświęceń. Prawdziwe piękno nie od samej tylko formy zależy, ale w pierwszym rzędzie od treści i jej ducha. Za wzór piękna w dziedzinie malarstwa stawia autor obrazy Matejki.

Jednem z najważniejszych, ale i najtrudniejszych zagadnień społecznych obecnej doby jest pytanie: co ma być zasadą prawa karnego? Za taką zasadę uważa się zwykle sprawiedliwość. Czy słusznie? Naprzód, ażeby być sprawiedliwym, potrzeba być wszechwiedzącym; powtóre, sprawiedliwość, polegająca na wymiarze kar, jest w gruncie rzeczy nie czem innem, jak odwetem, zemstą. Czy zemsta, chociażby uświęcona prawem, odpowiada zadaniom społecznego bytu? Głównym jego warunkiem jest z jednej strony umoralnienie jednostki, z drugiej — bezpieczeństwo publiczne. Że kara nie wpływa na umoralnienie ludzi, lecz przeciwnie, podtrzymując w nich uczucie mściwości, opaźnia je, zbytecznem byłoby dowodzić. Społeczeństwa nie obchodzi, jaki jest stopień winy przestępcy i jaka kara powinna go spotkać ale obchodzi je bardzo, jak dalece ów przestępca jest dla niego groźnym i w jaki sposób ma być zabezpieczonem od niego. To też główną zasadą prawa karnego powinno być bezpieczeństwo publiczne.

Prawo karne uwalnia od odpowiedzialności niepoczytalnych, chociaż z ich strony większe nieraz grozi niebezpieczeństwo, niż ze strony poczytalnych. Nareszcie, jeżeli niepoczytalnymi są chorzy umysłowo, dla czego do nich nie mają także należeć zwyrodniali moralnie, nałogowi przestępcy?

W zakończeniu dzieła znajdujemy dwa studja estetyczne autora nad dramatami Grillparzera i Halma. Studja te o tyle zostają w związku z treścią dzieła, że w nich zastanawia się autor nad charakterami w dramatach występującemi, wykazując, o ile one zgadzają się z pewnikami psychologicznemi lub od nich odstępują. Pod względem zrozumienia natury ludzkiej i wiernego jej przedstawienia przyznaje autor pierwszeństwo Grillparzerowi.

Co się tyczy tłómaczenia polskiego, jest ono staranne i wierne. Szpecą je tylko dwa rażące błędy: stałe posługiwanie się wyrazem: najsamwpierw, który jest ciężkim i niesmacznym, a co więcej niepotrzebnym, gdyż zamiast niego mamy: najsamprzód; a następnie niewłaściwe używanie wyrazu wszak, z którym czytelnik spotyka się często najniespodzianiej, doznając z tego powodu niemiłego wrażenia.

Władysław Kozłowski (Lwów).

Jak się bawimy u siebie.

(Kartka z życia litewskiego).

(Dokończenie).

Na dworze, jak to na wiosnę bywa, po gwałtownym deszczu, wyjaśniło się nagle i z przelatujących szybko obłoków raz po raz wynurzał się księżyc, oświecając naszą izdebkę.

— Nie pal ognia — rzekł Karol. — I tak mamy dość światła.

— Tem lepiej! — odrzekłem, bo i mnie przykrym byłby rażący blask lampy. I tak rozbieraliśmy się w milczeniu, czując, że albo wszystko, albo nic mówić do siebie nie mamy.

Położyliśmy się niby; ale sen odemnie daleki, a czuję, że i Karol nie śpi. Nie wytrzymałem wreszcie.

— Karol! —wołam nań z cicha. Podniósł głowę. — Więc to prawda? Ty idziesz?

Usiadł na łóżku.

— Idę — odpowiedział, a na białej twarzy w świetle księżycowem błyszczą mu tylko oczy czarne, jak węgle jarzące.

Zerwałem się z łóżka, przybiegłem do niego i zaczęliśmy pogawędkę.

I skąd to jemu się wzięło? Jemu, Karolowi! Dziś mnie to jeszcze w głowie pomieścić się nie może. Niechżeby tam jaki zawołany polityk, albo zapaleniec, któremu pod czupryną się pali — ale on, on! Co mogło mu być w głowie innego nad polowanie, pojedynki, miłostki?

— Co z tobą się zrobiło? Co ciebie, na Boga świętego, do tego szaleństwa popchnęło?

— A no, —rzecze—dałem słowo. W niedzielę zebraliśmy się wszyscy na plebanji: dałem im. słowo...

Wiedziałem, że kiedy dał słowo, to prędzej zabić się da, a dotrzymać musi.

— Oplątali cię — mówię — wmówili... Czyż nie pojmujesz, że na rzeź pójdziecie, że zaprzepaścicie nas wszystkich jeszcze gorzej?

— Nie pora już o tem mówić — dałem słowo.

Do świtu gawędziliśmy wówczas, raczej ja mówiłem, on słuchał. Powiedziałem mu wszystko, co tylko umiałem powiedzieć. Lecz na żelazo trafiłem, nie na człowieka, wszakże — miły Boże! — i z żelazem nieraz sobie poradzić umiałem — a z nim nie.

Nad ranem, kiedy znużony siedzę już tylko obok niego i niespokojnie nań spoglądam, on pomilczał długą chwilę, jakby myśli zbierał, a potem podnosi nagle głowę i rzecze:

— Domek! braciaśmy byli, co?

Ścisnąłem mu rękę, a on:

— Bratku! pójdziemy obydwaj...

Nie oczekiwałem tego.

— Warjacie zawołałem — na śmierć?

On wyżej jeszcze podniósł głowę.

— A no, tak, na śmierć — rzecze.

I wstał, podszedł ku oknu i pchnął je rękami obiema. Chłodny wietrzyk i blask świtania wpadł do izby. Po chwilce zwrócił się ku mnie i mówi:

— Czy myślisz, że śmierć straszna, kiedy jest za co umrzeć? Mylisz się. Dobra śmierć więcej warta, niż życie puste.

I w zamyśleniu patrzał w głąb ogrodu, a twarz czyniła się mu coraz jaśniejsza.

A potem wstrząsnął zlekka włosami i raźno zawołał:

— Czy śmierć, czy życie, nie pora o tem myśleć. A pora do roboty. Bo kraj wreszcie się ocknął, bo zdobywamy swobodę. I hańbę przeszłych czasów zmyć trzeba, choćby krwi potokami...

Przeszedł się żywo po izbie raz i drugi, a za chwilę już się ubierał, już się pluskał w miednicy. W kwadrans niespełna stanął ubrany do drogi.

Konie zaszły przed ganek. Zbliżył się do mnie; uścisnęliśmy się bez słowa. Lecz gdy wychodził, zatrzymał się jeszcze u proga, zwrócił się do mnie i zawołał:

— Domek! Bracie! pójdź z nami!

. . . .

Takeśmy się rozstali.

Pan Dominik umilkł i długą chwilę zapalał cygaro, które mu wśród opowiadania wygasło doszczętnie.

— Cóż dalej? — nagliłam w zaniepokojeniu, obawiając się, czy zechce dokończyć.

Westchnął głucho, nieznacznie, i patrząc w stronę, rozpoczął jakby niechętnie.

— Wszystko to było na wiosnę, a później — mieliśmy ciężkie lato. Pomimo, że zamknąłem się w Stepach i lasami od świata odgrodziłem się, wieści jak ptaki przelatywały i do mnie...

A no, stało się jak mówiłem. Plażyli nas na każdym kroku. A czego nie dokonali kozacy, to dokończyli chłopi. Tak było u nas przynajmniej.

Tam, ku Wilnu szło jakoby inaczej. Tam szlachta gromadniej ruszyła i chłopi jej pomagali jakoby — no, za to i krwi więcej popłynęło.

W jesieni, chociaż wyjeżdżać nie lubiłem, ale zdarzyła się taka potrzeba, koniecznie musiałem być w Bobrujsku. Na jeden dzień wsko-

czyłem do miasta, załatwiłem swoją sprawę i z nikim się nie widząc, mam już wracać do domu. W tem na placu spotykam się oko w oko z Mikuckim.

Wiem, że znał Karola i blisko z sobą sąsiadowali. Pytam go zatem, co słyszał o Chaleckim?

Na te słowa Mikucki chwyta mnie za rękaw.

— Cicho! — szeptem wykrzyknął i obejrzał się dokoła. Ale plac o tej porze był już pusty prawie. — To jeszcze nic nie wiesz?

— Co się stało? — pytam i trwoga ścisnęła mię za gardło.

Mikucki pochylił się ku mnie i tchem jednym syknął mi do ucha:

— Rozstrzelany — w Rzeczycy...

Pierwszy raz w życiu uczułem, ale mówię pani, wyraźnie uczułem, jak włosy stanęły mi dębem na głowie; czułem, że czapkę mi podniosły.

— Pójdź za mną, opowiem...

Wziął mnie za rękę i wiódł za sobą napółprzytomnego.

W małej, pustej piwiarni za stołem zaczął opowiadać mi szeptem o tem, na co patrzał własnemi oczami.

Przed paru tygodniami musiał dla jakiejś pilnej sprawy pojechać do Rzeczycy. Unikaliśmy wtedy wyjazdów, jak mogliśmy. Trafił na ogromny ruch w miasteczku i popłoch.

W przeddzień rozbito w okolicznych lasach partję Chaleckiego. Powstańców częścią rannych a powiązanych do więzienia wparli, Chalecki zaś sam, żywcem schwytany, jako wojskowy wojennym sądem miał być w 24 godzin rozstrzelany.

I oto tłum zebrał się, oczekując niebywałego w głuchej Rzeczycy widowiska. Mikucki z narodem się zmieszał i stał opodal.

Niedługo czekał.

Ozwał się bęben, zabłysły w rannem słońcu bagnety żołnierskie. Tłum zakołysał się, zaszemrał. Prędkim krokiem ruszył oddział od bramy więzienia i zbliżał się ku miejscu, gdzie już dół wykopany czekał i słup po za nim wbity.

Przecisnął się Mikucki przez tłumy i w środku zdążającego czworoboku dostrzegł Chaleckiego.

Szedł raźno, nieskrępowany; czoło według zwyczaju niósł hardo w górę wzniesione, czapeczka nad uchem na dłuższych nieco włosach utkwiona i wąs junacko podkręcony. W ustach trzymał uszczkniętą czerwoną różę, a w twarzy miał pogodę.

W takt bębna żwawo maszerował z żołnierzami, jakby nie ze śmiertelnych trudów leśnego ukrywania się, nie nazajutrz po bitwie, nie z więzienia i nie na śmierć kroczył, a po wywczasie w domowych progach, szedł jakby na ranną przechadzkę, w jasnem słońcu, w krasie bujnej swej młodości, w świat boży otwarty przed sobą...

Pochód się zatrzymał. Gęściej zahuczał bęben, naród poruszył się niespokojniej i ścisnął się gęsto dokoła formujących czworobok żołnierzy. Chalecki stał już nad swym grobem.

Z niezawiązanemi oczyma, z rękami nieskrępowanemi — bo prosił, aby mu wolnym umrzeć dozwolono — trzymał się prosto, szlachetną postawą, a tak wykwintnie, jakby przed króla szedł na posłuchanie. Wysoki był, i czarna kędzierzawa głowa z jasnem czołem przerastała otaczającą straż i widna była tłumowi.

Pochylił się i szepnął coś do towarzyszącego mu oficera. Ten ręką znak uczynił; zamilkł bęben i uciszyło się wszystko; tłum oddech w piersiach zatrzymał.

Wówczas Chalecki głos podniósłszy, zwrócił się do narodu.

— Panowie! — czystym, dźwięcznym głosem zawołał. Czy nikomu z was nic dłużny nie jestem?

Nastąpiła chwilka ciszy, a potem głuchy pomruk zahuczał po tłumie:

— Nikomu...

A Chalecki znów:

— Nikt nie ma urazy do mnie, żalu lub nienawiści!

A tłum zakrzyknął w głos jeden:

— Nikt! Nikt! Nikt!

Wtedy Chalecki uniósł z włosów czapeczkę, nabrał westchnieniem powietrza i kładąc całą duszę w spojrzenie, potoczył po ludzie płomiennem okiem i z pełnych piersi wykrzyknął:

— Niech żyje Polska!

Rzęsisty grad bębna zahuczał w powietrzu, a on wstrząsłszy czarne kędziory, wzniósł w górę czoło, znów różę wziął do ust, ręce w tył założył, pierś wyprostował i niezmrużoną powieką patrząc w twarz śmierci, czekał.

Ozwała się komenda oficera: formuj się! a potem: cel! a w końcu: pal!

Ośm ogni błysnęło, huk zatrząsł powietrzem i na chwilę wszystko pokryło się dymem.

Tak zginął dziedzic wielkich włości, rosyjski kapitan od ułanów, niezrównany w zabawach towarzysz — wódz powstańczy, pan Karol Chalecki.

. . . .

W. Dalecka.

Literatura polska w szwedzkim języku.

Przeglądając półki księgarskie, celem wyszukania dzieł, odnoszących się do działu szkolnictwa szwedzkiego, natrafiłem na książki tłómaczone z polskiego języka na szwedzki. Autorami ich są: dr. Alfred Jensen, nauczyciel wyższej szkoły w Göteborgu i panna Ellen Wester, mieszkająca w Stockholmie. Pierwszy przetłómaczył Ballady i Romanse A. Mickiewicza — Ballader och Romanser A. Mickiewicz. Była to praca konkursowa, za którą autor otrzymał pierwszą nagrodę. We wstępnem słowie tego dziełka podaje tłómacz życiorys naszego wieszcza i jego stosunek miłosny do Maryli Wereszczakówny. Następnie wylicza jego dzieła i obznajamia czytelnika ze stanowiskiem, jakie zajął on w literaturze polskiej.

Przyznaje, że „Pan Tadeusz“ jest utworem klasycznym, do rzędu epopei należącym. Mówi o miłości ojczyzny Polaków i o nadziei odzyskania jej, biorąc asumpt z pieśni: „Jeszcze Polska nie zginęła“ — „Ännu Polen ej gätt under“. Krytyka tutejsza nader pochlebnie wyraziła się o talencie młodego poety, który w przekładzie swoim dał dowód poznania ducha języka polskiego; tłómaczenie bowiem niczem nie różni się od pierwowzoru. Poeta szwedzki miał podczas pory zimowej w br. w Stockholmie kilkanaście odczytów o Mickiewiczu dla szerszej publiczności i ma zamiar przełożyć jeszcze inne utwory tego poety. Dla ciekawości czytelników podajemy w szwedzkim języku pierwszą zwrotkę, znanej powszechnie ballady Mickiewicza: „Powrót taty“.

FADRENS ATERKOMST.

»O, kommen, smabarn! kommen med mig alla
till pelarn, som bärgasen kröner!
För helgonbilden där pa knä vi falla
och läsa andäktiga böner«.

A. Jensen przełożył także na język szwedzki poemat J. Słowackiego: „Ojciec zadżumionych“.

W dziele zaś napisanem prozą, zakroju większego, noszącem tytuł: „Slavia kulturbilder från Volga till Donau“ przebiega autor wszystkie szczepy słowiańskie, objęte temi rzekami, oddając pierwszeństwo Polakom, tak pod względem kulturnym, jak inteligencji i charakteru, między temi plemionami, osiedlonym. W dziele tem mieści się obraz Unji lubelskiej, portrety: Mickiewicza, Wernyhory, Kraszewskiego, Kilińskiego, Matejki, Kościuszki i innych znakomitych ludzi wraz z ich biografią. Przytacza dwuwiersz w języku niemieckim, odnoszący się do wojen Kościuszkowskich:

»Zwei Kaiser und ein König
Ist für Kościuszko zu wenig«.

Mówi o Murawjewie i nim zamyka dział, odnoszący się do krwawej historji naszego narodu.

Panna Ellen Wester przetłómaczyła zaś na język szwedzki niektóre powieści Orzeszkowej jak: Tva Poler – (Dwa bieguny), Mirtala, Nad Niemnem i Meir Ezofowicz, — H. Sienkiewicza: Zbiór nowelek, Na Jasnym brzegu i Kraszewskiego: Resurecturi.

A. Jensen uczył się języka polskiego w Krakowie i Warszawie, następnie podróżował po krajach słowiańskich.

Panna E. Wester miała poprzednio zamiar przyswojenia sobie mowy rosyjskiej. Udała się więc w tym celu do Petersburga. Przypadek jednak zrządził, że usłyszała mowę polską, której dźwięk więcej się jej podobał od rosyjskiego. Zmieniła więc swój pierwotny plan. Pojechała do Warszawy i tam, ucząc się języka polskiego, rozczytywała się równocześnie w naszej literaturze. Piękny to przykład niezmordowanej pracy obojga tych ludzi; wiadomo bowiem, że przyswojenie sobie języka polskiego jest niełatwem zadaniem dla cudzoziemców.

Pożądanem by było, ażeby dla ludzi obcych, studjujących nasze piśmiennictwo, istniały stypendja, dające możność oddania się tej pracy. Zasilanie bowiem obcego piśmiennictwa naszem, przynosi chlubę narodowi naszemu i jego literaturze. Utworzenie zaś stypendjów dla powyższego celu znalazłoby wielu adeptów, studjujących nietylko nasze piśmiennictwo, ale i sztukę polską, która ostatnimi czasy na pierwsze wysuwa się miejsce.

L. Leeg.

Z prastarej historji Śląska.

(Dokończenie).

Na takich niewzruszonych podwalinach wznosi autor wspaniały, ogromem iście nieprzejrzany gmach osadnictwa słowiańskiego w śląskiej krainie, a szczegółowo rozwodzi się w następnych rozdziałach

nad nazwami pojedyńczych ziemic, jak Śląska, Opola, dalej podaje wywody nazw gór, rzek, mianowicie zaś Odry i wszelkich jej licznych przypływów. Wszakże główną część dzieła swego poświęca oczywiście najliczniejszym słowiańskim nazwom miejscowości, utworzonym najprzód z i m i o n o s o b o w y c h, które są albo imionami rodowemi albo dzierżawczemi, oznaczającemi zatem, że daną miejscowość założyły i zamieszkiwały osoby, zowiące się takiem mianem i należące do jednego rodu, albo też że miejscowość taką zamieszkiwała wymieniona osoba, że ona ją odziedziczyła. Wielce zajmującym jest rozdział, w którym autor rozbiera nazwy osad, nadane im od imion ś w i ę t y c h p a t r o n ó w, ku których czci kościoły miejscowe pobudowano. Następuje dalej długi szereg takich nazw miejscowości, jakie utworzono z i m i o n p o s p o l i t y c h, które w jakimś związku pozostawać musiały z nazwaną od nich osadą, a mianowicie dowiadujemy się, że głównie następne pojęcia tworzyły prawdziwie niewyczerpany materjał, z którego powstawały nazwy miejscowości: zatrudnienie i prawne zobowiązania osadników, instytucje polityczne całej krainy, charakterystyczne właściwości bliższego i dalszego otoczenia nowej zagrody, a więc role żyzne, rozległe błonia, wązkie doliny, wzgórza wyniosłe, gęste lasy, moczary grzązkie, wartkie potoki, a wreszcie bogaty świat roślinny i zwierzęcy, o ile on był szczególnie znamiennym dla powstającej osady.

Po ogólnej, zwięzłej charakterystyce wymienionych grup poszczególnych, przytacza autor dotyczące nazwy w długich, przejrzystych szeregach alfabetycznych, dodając do nich krótkie objaśnienia językowe na podstawie najstarszych form nazw miejscowości, przechowanych w odwiecznych dokumentach.

Bardzo cenną zaletę dzieła ks. Damrotha stanowi ostatni jego rozdział, w którym według najstarszych wiarogodnych źródeł z dokładnem podaniem chronologji zestawione są ś l ą s k o - p o l s k i e i m i o n a o s o b o w e z czasów najdawniejszych i to od roku 960 do 1300. Długi ich szereg bowiem nie tylko stwierdza niesłychane bogactwa języków słowiańskich w imiona osobowe, co do których śmiało współzawodniczyć mogą one z greckim i niemieckim językiem, uważanemi ogólnie za najbogatsze pod tym względem, lecz, co więcej, ułatwia znakomite objaśnienie niejednej spornej nazwy miejscowości, w których najoczywiściej zawarte są imiona osobowe, jakie obecnie w użyciu już zaginęły. Grupa zaś nazw miejscowości, utworzonych z imion osobowych, jest i na ziemiach słowiańskich, tak jak i w innych krajach najliczniejsza.

Kończąc nasz referat, nie dopełnilibyśmy jednakowoż całego obowiązku naszego, gdybyśmy jednę jeszcze uwagę pominąć mie i milczeniem.

Otóż w dzisiejszych czasach, kiedy system eksterminacyjny przeciw żywiołowi polskiemu wzmaga się na każdym kroku, a przeciwnicy nasi, szowinizmem zaciekłym zaślepieni z tem większą złośliwością, z tem nienawistniejszem roznamiętnieniem występują, im więcej pola i siły nabiera poczucie samorodne i samowiedza narodowa pomiędzy takiemi odłamami narodu naszego, które dotąd w pewnem pozostawać zdawały się uśpieniu, kiedy etnologowie i lingwiści szowinistycznego kalibru za szczyt mądrości swej uważają, jeżeli w łatwowierne umysły wmówić pragną, że mianowicie cała ziemia śląska po wszystkie czasy do germańskiego żywiołu należała, a nawet na takie twierdzenie, o pomstę do niebios wołające, się zdobywają, że języka Ślązaków nie godzi się nazywać polskim językiem, lecz jeno zepsutą, gwarą górnośląską, zbliżoną więcej do niemieckiej mowy, aniżeli do polskiego pnia macierzystego, w takich otóż czasach rozszalałego fanatyzmu i brutalnej zachłanności przemożnej, nabiera dzieło księdza Damrotha og[illegible]go znaczenia Kat' egzochen politycznego. Oparte na ściśle naukowych i historycznych podstawach, głosi ono każdemu nieuprzedzonemu jasno i dobitnie, że już w zamierzchłych wiekach wyłącznie słowiańskie szczepy, szczególnie zaś polskie plemię, pierwsze niezliczone osady na szerokiej ziemi śląskiej zakładało, że mówiło ono zawsze tym samym językiem, do dzisiaj zrozumiałym, który skutkiem katastrof dziejowych, skutkiem wtargnięcia obcego plemienia i srogiego ucisku politycznego, tylko Górny Śląsk umiał wiernie dochować, a, da Bóg, dochowa go i przez całe przyszłe wieki.

Jeden wzgląd ten starczyć winien, aby i naszego społeczeństwa koła jak najszersze nie w czczej próżności frazesach, lecz rączym czynem objawiły najżywszą sympatją ku pobratymczemu ludowi górnośląskiemu, którego najstarsze dzieje wewnętrzne spisał doskonale w swem dziele ks. Damroth. Etymologiczne studjum jego o odwiecznych osadach słowiańskich na śląskiej ziemi zdobić będzie, jak sobie tuszymy, bibliotekę każdego polskiego obywatela, który w polskim Śląsku widzi i odczuwa druha i brata!

(Dziennik Poznański). *Strzała.*

Z drukarni Z. Golloba.